Lwów, 10. Lutego. Nr 18. Rok 1855.

Wychodza we *Wtorek, Czwartek* i *Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr. półr. 3 Złr. kwartal. 1 Złr. 30 kr. miesieczna 40 kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie 8 Złr.— półrocznie 4 Złr.—kwartalnie 2 Złr. m. k. Rycimy mód kwartal. 1 Złr.

NOWINY

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po 3 kr.. za nastep. po 1½ kr. i za dopłatę 10 kr. stepl. za każ. dorazowe umieszczenie. Bióro expedycyi wksiegarni *H. W. Kallenbacha*

DZIWO-ŻONA.

Powieść społeczesna

przez

Zygmunta Kaczkowskiego.

XVII.

(ciąg dalszy.)

Pałacyk starościny nieboszczki na Sieniawszczyźnie stał jeszcze dzisiaj taki sam prawie, jak wówczas. Wprawdzie trochę więcej widać było na nim zniszczenia zewnątrz, taras się jeszcze mocniej podżłobił, kilka drzew starych doprόchniało do reszty, tynki na murach poodpadały gęściej, brama wjezdna runęła w gruzy a z nią razem poszedł do grobu i ów odźwierny staruszek: ale pomimo to było to jeszcze wcale mieszkalne domostwo. Wewnątrz było jeszcze wszystko tak samo, jak za starościny nieboszczki, jak za tych czasów, kiedy Edmund tam sam mieszkał po śmierci swej babki: tylko owego wiszącego niegdyś nad kominem zegaru nie było, i nie było owej kolumny, którą stłukł wystraszony widokiem kawalerskiej biesiady Sieniawski.

Do tego więc pałacyku sprowadził się Edmund, przyjechawszy do Lwowa. Ale pomimo zmiany miejsca, życie jego było tutaj takie same jak na wsi. Próbował on wprawdzie zrazu zetknąć się z tym i owym ze swoich znajomych i przypatrywał się wszystkim zbliża; ale im bliżej którego z nich poznał, tem tylko dalej potem od niego uciekał. Cały świat ten, tak zwany piękny, wykształcony, bogaty, wydał mu się teraz towarzystwem dziwnie czczem i pstrokatem. Im więcej gdzie poznał dumy, tem mniej prawa do tego, im głośniejszy gdzie organ, tem większa próżność w głowie, im więcej gdzie junakieryi, tem więcej tchórzowstwa, arystokracya oparta na podrobionych genealogiach, cnota na oko, a występki pod płaszczem, miłość dla kraju i chęć poświęcenia się, ale tylko przy drzwiach zamkniętych wypowiadana w sekrecie, błyszczenie zamożnością ale li dla pokrycia długów przed okiem ludzi, zamiast europejskiej oświaty udawana tylko europejska ogłada; a wszędzie czczość, próżność, nieznajomość przeszłości i zupełna nidbałość o przyszłość. Rzadkie od tego wyjątki, a i w te jeszcze nie mógł szczerze uwierzyć. Tak nie było w istocie, bo jużciż rzeczą jest dowiedzioną, że tak tam jak i wszędzie, przy niedostatkach i błędach, znajdują się cnoty, dostatki moralne i materialne, znajduje się poczciwość, odwaga, prawdziwa oświata, nieudawana szlachetność i niepodrabiane szlachectwo, — ale tak się to Edmundowi wydało. Jemu podobno już nic na świecie inaczej się wydawać nie mogło, bo wzrok jego był już na zawsze skrzywiony, umysł w jednej połowie schorzały a w drugiej spaczony, a co najgorsza, serce spruchniałe wcześnie i pozbawione zdrowego i naturalnego uczucia.

Tak więc odsunął on się całkiem od towarzystwa i prowadził życie samotne. Rankiem widzieć go można było codziennie w kościele Panien Miłosiernych, gdzie klęcząc słuchał mszy świętej; potem puszczał się zwykle konno na dalekie przejazdki a im większa była niepogoda na dworze, tem pędził szybciej i dłużej się bawił, resztę godzin do obiadu przesiadywał zwykle w bibliotece familijnej, która tam po starościnie została. Biblioteka ta nie była bardzo liczna, ale była bardzo bogata, albowiem oprócz prawie wszystkich kronik polskich mieściła ona w sobie znaczną ilość broszur politycznych i historycznych, kilkanaście zbiorów diaryuszów sejmowych i wojennych, a co najważniejsza, kilkadziesiąt foliantów rękopismów z różnych czasów i w różnych przedmiotach. Większa część tych rękopismów niemiała żadnej szczególnej wartości, były to bowiem kopie znanych już rzeczy, ale były tam także i rękopisma nieznane, a pomiędzy niemi jeden szczególniejszej wartości; był to bowiem jakiś rodzaj familijnej kroniki, w którą jeszcze od czasów Batorego począwszy, każden członek familii wpisywał różne zdarzenia, tak do historyi kraju, jak i do historyi rodu się odnoszące. Cała ta biblioteka, kiedy jej się Edmund zbliska przypatrzył, nadzwyczaj go zajęła. Nie czytał on nigdy kronik, nie czytał ksiąg innych źródłowych i za ich pośrednictwem nigdy się jeszcze nie zapuszczał w narodową historyę — i teraz dopiero poznał, jaka to jest ogromna różnica, rozmawiać z duchem dziejowym przez tłumacza a rozmawiać z nim samym w jego współczesnem źródle. I przyznawszy sobie, że dotychczas nie znał zupełnie historyi, rzucił się z najgorętszem, na jakie się mógł zdobyć zajęciem, na te księgi pargaminowe, czytając w nich po kilka godzin codziennie. Z największą wszakże ciekawością syllabizował ową kronikę familijną i chcąc w niej jaknajprędzej dójść do końca, gdzie jego dzia-

dek rodzony, ostatni autor tej książki. kilkadziesiąt kartek zapisał, czytywał w niej czasem i wieczorami.

Po obiedzie przychodził do niego zwykle ksiądz jakiś, to jeden, to drugi, to trzeci a czasem i po dwóch razem. Księża to byli podobno ci sami, którzy niegdyś nawidzali starościnę nieboszczkę, którzy mieli u niej tak wiele łaski a u jej wnuka tak wiele niełaski, że się zdawało, jak gdyby miał niezwalczoną ku nim nienawiść. Dzisiaj jednak, zmieniwszy się pod wielu względami, zmienił on się i pod tym, i z wielką chęcią przyjmował tych gości u siebie, zwodząc z niemi zawsze długie w przedmiotach religijnych dysputy i kończąc je zawsze albo pokornem poddaniem się ich wyrokowi, albo jakąś wspólnie odczytaną modlitwą.

Oprócz nich jeszcze czasem przychodził doń, znajomy nam z salonu pani Marszałkowej, świątobliwy Eligijusz. Marszałkowej Edmund znieść nie mógł i o niej nigdy wiedzieć nic nie chciał, ale Eligijusza chętnie znosił u siebie, nie dla jego rozumu, nie dla jego gładkości w mowie i obejściu, nie dla jego udawanej świątobliwości, ale dla jego pokory i usłużności, w skutek których zrobił sobie z niego jakiś rodzaj lokaja, z którego się najgrawał, którym się bawił jak drewnianym konikiem i którego do różnych posług używał, — jak to zawsze panowie lubią mieć coś takiego przy sobie. Eligijusz znosił te wszystkie nieznośności od Edmunda, — jak to znów tacy ludzie umieją wszystko znieść od tych, do których chcą się koniecznie przyczepić, — i znosił cierpliwie i mężnie, płacąc sobie za tę służbę dotychczas tylko coraz większą poufałością, ale czekając zapewne na jakąś sowitą w przyszłości zapłatę.

Pomimo takiej rozrywki jednak, jaką miał z Eligijusza, i pomimo biblioteki i kroniki familijnej, która go tak zajmowała, zdaje się, że wewnętrzne usposobienie Edmunda wcale się nie zmieniło. Był on najczęściej ponury, smutny i zamyślony a kiedy się twarz jego rozjaśniła cokolwiek, to jego usta okrążał uśmiech dziwnie gorzki i sarkastyczny i równie gorzkie z ust tych wylatywały sarkazmy. Często kładł książkę przed sobą i niby-to w niej czytał, ale w istocie tylko oczy nieruchomie wlepił w jej wiersze i siedział tak zadumiony. Czasem kładł się na znak na balzaku i wpatrzywszy się w sufit, leżał tak parę godzin, martwy, nieruchomy, ścierpnięty w zamyśleniu jak drewno. Czasem stawał przy oknie i oparłszy się obydwoma łokciami o ramę, patrzał wprost na ulicę, nic przed sobą nie widząc, ani słysząc około siebie. Można było natenczas cały dom wynieść, krzyczeć, łoskotać, strzelać tuż za nim, on by się był nawet i nie oglądnął.

Jednakże dnia jednego stojąc tak przy oknie od frontu i patrząc prosto w okna owego małego domku, który niegdyś do starego archiwisty należał, ocucił się ze zwykłego mu w takich chwilach odrętwienia i patrzył przed siebie żywemi oczyma. Był to pierwszy dzień ciepły wiosenny i widać było, że się tam w tym małym domku żegnano z zimą. Odklejano i otwierano okna, na oknach stawiano doniczki z kwiatami, wynoszono kanapki drewniane na ganek, wysypywano ścieszki piaskiem, czyszczono drzewka w ogródku. W chwilę potem w furażerce czerwonej na głowie, w długim tabaczkowym surducie i z lulką w ustach wyszedł jakiś stary jegomość na ganek. Był to zapewne sam pan Dominik. Patrzał on długo w niebo i powodził oczyma na wszystkie strony, przypatrując się każdej chmurze białawej, płynącej tu i ówdzie po szafirowem tle tego nieprzejrzanego namiotu ziemi, oświeconego pierwszemi promieniami rozmarzającego się słońca. Za nim wyszły na ganek jakieś dwie kobiety, z których jedna była pod ramię prowadzona przez drugą i stanęły tak na progu, jak gdyby zaczerpywały świeżego powietrza, — a kiedy staruszek ruszył powolnym krokiem ku furtce, one obydwie usiadły w ganku obok siebie i poczęły jakąś rozmowę.

To wszystko widział Edmund — i mimowoli przypominała mu się poczciwa, cicha, w odosobnieniu od świata żyjąca familia Sieniawskich. Przypominała mu się jego młodość, w której jego serce tak niecierpliwie się zrywało ku tej nieodgadnionej przyszłości, marząc ją wielką, wspaniałą, bogatą w wielkie czyny, w wielkie znaczenie i sławę. I przypomniały mu się grzechy tej jego młodości, kiedy zbiegł z prawej drogi, zanurzył się w niemoralnej swawoli, kiedy wydawał bankiety dla zakulisowej chałastry i ufryzowanych lampartów. Przypomniał mu się stary Sieniawski, tłuczący z przerażenia kolumnę, — przypomniała mu się zazdrosna jego małżonka i cudowna naonczas Hania, która tak wielkie wrażenie sprawiła na jego sercu. I przypomniała mu się dalej taż sama Hania, jako anielskim spokojem duszy i niebiańską czystością myśli, ocuciła go z szału rozpustnej swawoli, jako pokazała mu światy tak czyste i piękne, o jakich przedtem nawet nie umiał zamarzyć. I potem długo, długo jeszcze myślał on o tem wszystkiem, o swojej młodości, o całem życiu swojem — a nakoniec się zbudził i postanowił odwidzić tych poczciwych Sieniawskich.

Koniec tomu trzeciego.

Tom czwarty.

XVIII.

Ubogi domek starych Sieniawskich stał jeszcze taki sam teraz, jak przed tem. I wszyscy jego mieszkańcy jeszcze dziś żyli, — tylko na wszystkich lat dwanaście minionych pozostawiły swoje niestarte ślady.

Pan Dominik ze wszystkich najmniej się odmienił. Powierzchowność jego była teraz prawie ta sama, co przedtem, — tylko czupryna jego całkiem pobielała jak mleko i nos jeszcze się bardziej zakrzywił i zwiesił nad gębą.

Zresztą ten sam surdut tabaczkowy na nim codziennie, ta sama furażerka czerwona na głowie, tak samo wyglansowane buty na nogach. I życie jego było takie same dzisiaj, jak wtedy. Zawsze wertował swoje stare archiwum, zawsze zeń coś wyciągał i zawsze nic nie mógł wyciągnąć. Zawsze też pamiętał o znakomitym rodzie Sieniawskich i zawsze się do nich przyznawał, tylko dziś kiedy mówił o tem, jeszcze wyżej głowę podnosił i jeszcze pewniejszych dobierał tonów. Równie też nie odstąpił jeszcze do dziś od nadziei odszukania swoich rodziców i zawsze mu się jeszcze zdawało, że lada dzień ktoś skąd'eś się zjawi u niego, że ten ktoś będzie jakiś magnat, jakiś wojewoda sławny, jakiś xiążę udzielny, który go obejmie w swoje ramiona, odda mu cześć wielką i sławę, i obsypie niewyczerpanemi bogactwy i w jakieś krzyształowe na resztę dni życia wprowadzi pałace. Tak-to ma zawsze młodość, ale miewa też często i starość swoje nigdy nie ziszczone nadzieje!

Pani Sieniawska o wiele więcej się odmieniła od męża. Zestarzała się bardzo, zesiwiała jak gołąb, zgarbiła się prawie we dwoje — a co najsmutniejsza, — ociemniała prawie zupełnie. Katarakta jej zapadła na oczy i przez nią jeszcze tylko tak jak przez grubą zasłonę widziała nie wyraźne cienie przedmiotów. Gdyby to nieszczęście było ją spotkało od razu, była-by stąd była wielka na dom ten zapadła żałoba, ale ona pomału traciła wyraźność wzroku i tak pomału jakoś wszyscy przyzwyczaili się do tego nieszczęścia. I ona sama się także z niem oswoiła i była w duszy spokojną, nie wesołą jak zawsze, ale ufającą w Bogu i Jego niewyczerpanem miłosierdziu nad cierpiącemi, a ufność taka, jeżeli jest szczerą, głęboką, nie zamąconą żadnemi rachubami ziemskiemi, nie może nie dać wewnętrznego spokoju duszy nawet i tym, którzy mają jeszcze jakieś nadzieje do ziszczenia na ziemi. Żona pana Dominika nie miała dla siebie już żadnych nadziei, — cała jej przyszłość, o której często myślala, była ta, która na nią czekała za grobem, — a o tę była ona jak najzupełniej spokojną. I jeżeli było coś jeszcze na tej ziemi, co ją mogło zajmować, do czego jeszcze jakieś przywięzywała nadzieje, to była tem córka jej Hania, dla której szczęścia była gotową w każdej chwili swe życie poświęcić a nie mogła jej ani jednego dnia szczęśliwego sprowadzić.

Hania była jeszcze panną dotychczas. Nie była ona już dzisiaj tak piękną jak wtedy, bo i wtedy całą jej piękność stanowiła raczej świeżość wiosennej młodości, naiwność pół-dziecinnego umysłu i owa pół-anielska pogoda duszy, która niestety! zaraz po pierwszych krokach zrobionych w świat rzeczywisty, jakby duch jaki nadziemski odlatuje od nas na zawsze. Ale była to jeszcze wcale ładna kobieta. Od tego czasu wyrosła, zmężniała i spotężniała na formach zewnętrznych, ale pomimo to zachowała kibić dziwnie zgrabną i wiotką i takie sprawiającą złudzenie, że niewidząc jej twarzy, można ją było wziąć za ośmnasto-letnią panienkę. Na twarzy stało dwadzieścia ośm lat tak wypisanych wyraźnie, że niemożna ich było nie dojrzeć. Wszakże te lata nie wywoływały jeszcze głośno starości panieńskiej, którą świat nielitościwy bierze sobie zawsze za przedmiot szyderstwa, ale było to tylko świadectwo dojrzałości. Twarz bowiem ta zachowała jeszcze całą świeżość dziewiczą, oczy były pełne dawnego ognia i blasku, usta już nie tak mocno wiśniowe, ale zawsze zarysowane prześlicznie i pełne ujmującej słodyczy. W ogóle mówiąc, było coś dziwnie ujmującego w tej twarzy, jakiś spokój anielski, rozlany w jej całym wyrazie, jakaś dobroć, łagodność tak jawna i tak chwytająca za serce, że po kilku słowach wypowiedzianych, wpajała w każdego głęboki szacunek i żywe współczucie dla siebie.

Taką była dziś Hania — i jeżeli stała się taką, miała to do zawdzięczenia tylko tej wierze świętej, która z dziecięctwa była wkorzenioną w jej serce tak głęboko, że jej potem w życiu nie zachwiały żadne boleści i żadne zawody, ani zamąciły na pozór głębokie i mądre a w rzeczy samej tylko misterne i zuchwałe rozumowania. Wiara ta święta, wiara w marną znikomość tej doczesnej wędrówki a w nieskończoną przyszłość za grobem, była dla niej jedynem słońcem, które oświecało jej życie, wiara ta była też dla tego i główną treścią jej życia, początkiem i końcem każdej myśli i każdego uczynku; — nie tak jak u tych, u których taż sama wiara jest tylko środkiem do nabycia czegoś w tym świecie a w razie najlepszym, środkiem do odpokutowania popełnionych występków. Dla tego też od niej nikt nigdy jednego słowa nie usłyszał o wierze, o religii, o świętych obrządkach, — z ludźmi światowymi rozmawiała o rzeczach światowych, — nie wstępywała w żadne konfraternije nabożne, bo wiedziała dobrze, że do rozmowy z Bogiem nie potrzeba nikomu wspólników, — bywała codziennie w kościele, ale wtedy, kiedy jej tłumy nie mogły przeszkadzać w modlitwie, — rozdawała odpowiednie swoim szczupłym funduszom jałmużny, ale tak, żeby nikt o tem nie wiedział, — nie nawracała nikogo, bo nie czuła apostolskiego powołania w swem sercu, — nie miała ani tych ani owych za heretyków lub kacerzy, bo nie wiedziała, co jest w głębi ich sumienia,— z pobożności swojej nie wynosiła się nigdy nad inne, bo pobożności swej nie przyznawała żadnej zasługi, tylko miała ją sobie za nieoceniony dar Boży i chrześcijańską powinność. I to była kobieta prawdziwie święta, jeżeli się godzi takie nazwisko dawać ludziom za życia.

Tak poznawszy bliżej córkę starych Sieniawskich, każdy się łatwo domyśli, z jaką pokorą, z jakiem poddaniem się zniosła ona tę ciężką próbę, którą los na nią zesłał przez stratę Kamila. Dowiedziawszy się o jego bezpiecznem schronieniu w domu jenerała, modliła się za nim do Boga, ażeby mu dał jak najdłużej tego bezpieczeństwa u-

żywać, — dowiedziawszy się o jego szczęśliwej za granicę ucieczce, modliła się znowu, ażeby mu tam było jak najlepiej w Paryżu. I może-to jej modły gorące mu to wyjednały u Boga, że nie zagrząził zupełnie w tęm politycznem bagnie, do którego darł się po kilkakroć z takim zapałem, i może w skutek tych modłów takie szczęście na niego spłynęło zkąd innąd. Miłość, którą ta nieszczęśliwa kobieta miała dla tego równie nieszczęśliwego człowieka, żyła w jej sercu zawsze i nie potrzeba tego powtarzać, że z takiego serca nie potrafi miłości wykorzenić żadna moc światowa. Hania też kochała ciągle Kamila; zawsze o nim myślała, marzyła o jego szczęściu, żyła jego życiem i jemu towarzyszyła wszędzie swą myślą. Wiadomości o nim miała prawie co roku, a każda wiadomość taka była dla niej epoką, była jej świętem światowem. Nie odzywała się sama nigdy do niego, bo wiedziała, że niema żadnego prawa do tego, wiedziała nieszczęsna! że mu jest obojętną zupełnie. Miłość więc jej była bez najmniejszej nadziei; a chociaż przychodziło jej czasem na myśl, że Kamil może kiedyś powrócić do kraju, że pewnie natenczas przyjdzie w dom jej rodziców, toż jednak myśli takie rozpędzała zawsze zdrowym rozsądkiem, któren jej mówił: nie czyń sobie żadnych nadziei, bo im więcej ich sobie poczynisz, tem tylko więcej doświadczysz zawodów. I Hania uciekała od takich myśli i chroniła się od nich to modlitwami, to czytaniem książek, to pracą, — ale pomimo to zawsze jakieś niezwalczone przeczucie w niej żyło, jakiś głos się odzywał w jej sercu, któren jej mówił wyraźnie: że jej miłość jeszcze się na tem, co się stało, nieskończy, że jeszcze będzie widzieć Kamila, że jeszcze podzieli z nim jakiś los tego życia. Głos ten przepowiadał jej zarazem, że lepiej-by było dla niej, gdyby już nigdy nie widziała swego dawnego kochanka, śniły jej się czasami jakieś sny straszne i krwawe, przywidywały jej się jakieś wielkie nieszczęścia, — rozsądek to wszystko rozpraszał, ale serce przyciągało do siebie, — i było z nią tak, jak ze wszystkiemi kobietami w miłości, których hasłem odwiecznem są słowa: Widzieć go jeszcze raz w życiu.... choć-by potem i zginąć.

Przez te lat dwanaście Hania się także o wiele zmieniła i pod względem usposobienia umysłu. Czytała bardzo wiele i umiała robić dobry wybór pomiędzy książkami. Wyrobiła ona w sobie ten instynkt, ten, że tak powiem, zmysł czytelniczy, któren przez kompaturki umie przewidywać treść książki. Dla tego z czytania odniosła wielkie korzyści. Zapoznała się dobrze z całą nowszą literaturą polską, wyuczyła się dokładnie narodowej historyi, obznajomiła się nawet cokolwiek z naukami głębszemi a żywoty świętych i historya kościelna była jej najulubieńszym przedmiotem. Wiadomości te, nabyte cząstkowo i uporządkowane własnym tylko rozsądkiem, nie stanowiły jeszcze w niej uczoności, ale strzeżone jej wrodzoną skromnością, natchnione duchem religijnym i ugruntowane wszędzie na czysto chrześcijańskich zasadach, uczyniły z niej kobietę, wykształconą tak pięknie, myślącą tak zdrowo i sięgającą swoim bujnem umysłem tak wysoko, że poznawszy ją teraz, niepodobna było uwierzyć, ażeby kwiat taki pełny i piękny mógł wyróść samotnie gdzieś w oddalonym kąciku nieznanej nikomu Sieniawszczyzny.

A tymczasem ileż-to takich kwiatów znajduje się zawsze po jeszcze oddaleńszych i uboższych kącikach tej ziemi! Nikt ich nigdy nie sieje, nikt nie pielęgnuje za młodu, nikt od burzy tego świata nie strzeże ich wzrostu, a przecież wschodzą, rosną, rozwijają się, bujnie, wystrzeliwają cudownym kwiatem w swej samotności — i giną potem nieznane nikomu. Nikt ich nie zna za młodu, nikt nie wielbi za życia, nikt westchnieniem nie udaruje ich grobu. Bóg tylko jeden, który z upodobaniem patrzył na każdą chwilkę ich skromnego istnienia, nie zapomina o nich po śmierci i wyznacza im miejsca daleko wspanialsze i wyższe, niżeli tym, którzy wielkim hałasem i szumem naznaczyli drogę swojego przechodu przez ziemię, — chyba że czasem jaki badacz teraźniejszości znajdzie przypadkiem ich chatkę ubogą, znajdzie je same więdniejące pod promieniami zachodzącego słońca ich życia, podsłucha ich westchnienia i skargi, wyspowiada ich z bólów i cierpień i potem jakiś blady obraz ich duszy promiennej i wzniosłej włoży w czarne ramy burzącej się ludzkiemi namiętnościami powieści. I to już jest najwspanialszy pomnik, na jaki dla nich zdobyć się może ludzkość, nie umiejąca nigdy słusznie nagradzać cnót biernych, obracająca swe oczy tylko tam, gdzie są czyny rozgłośne i wielkie, i nie wiedząca o tem, że ona sama jest tylko takim kwiatem potulnym i skromnym, kwitnącym samotnie w najuboższym kąciku nieogarnionego duchem ludzkim wszech-świata!....

(C. d. n.)

DYMEK

przez

Autorkę: w *Imię Boże*.

Cóż to za chmurka ledwie widna oku
Lekka, przejrzysta, jak oddech, jak para...?
Na czystem niebie nie było obłoku
To chyba z ziemi prośba lub ofiara!
Skowronek śpiewał, ja uwierzyć rada
Że to obłoczek tak mi odpowiada:

— «Jam tylko dymek i lecę do nieba,
W przelocie moim słońce mnie uzłaca,
Wyszłem z ogniska *powszedniego chleba*
Którego strzegą ubóstwo i praca.

Miasto śpi jeszcze — samotni na niebie
Ptaszki i dymek Boże chwalą ciebie!

I było błogo i cicho... po chwili,
Ptaszki ucichły — bo ludzie gwarzyli,
Kurz świata przyćmił cały wdzięk natury,
Zniknął obłoczek, bo nadeszły chmury
A ja? czyż można o tem wątpić, pytać!

Nazajutrz biegłam ów dymek powitać
Bo on mnie uczy, on mi przypomina:
Że łaska Boska tak ogólnie świeci,
Że prosty dymek z prostego komina
Jasnym się staje gdy do Nieba leci.

JEDNODNIOWKI.

(Dokończenie.)

Nad Sekwaną wzburzyły się masy i zapragnęły wielkich czynów. Zapał ich uśmierzył mowca dowodząc, że dla geograficznej i moralnej równowagi potrzeba szczęścia narodów i nieszczęścia, potrzeba wolności i niewoli, potrzeba wielkiej, wolnej Francyi, i potężnej, samowładczej Rossyi. Przyklasnęły masy ulubionemu swemu poecie, i rozeszły się, podziwiając jego rozum i fantazyą. Na takie samolubstwo westchnął pan Michał.

Myśl równości społeczeńskiej nie lepszy wydała owoc. Jednego poranku, gdy się pan Michał obudził, ujrzał przed łóżkiem służącego w nader butnej postawie. Zapytany o powód takiej zmiany, odrzekł, że na posiedzeniu wczorajszem zgromadzenia sług, uchwalono jednogłośnie między sługą a panem jak najobszerniejsze równouprawnienie. Westchnął drugi raz pan Michał, a jeden złoty liść jego marzeń szczerniał i opadł jak szych jednodniowy.

I za kilka dni przybyli do niego jego urzędnicy prywatni, i donieśli mu o swoim wniosku zbawiennym, aby się z nimi, jak Bóg przykazał, swoją ziemią podzielił, i własnością ich udarował. Zatrwożył się Junosza na widok tej hydry społeczeńskiej i zamyślił się głęboko.

Wolnomyślni posłowie parlamentu frankfurtskiego uchwalić raczyli wcielenie Poznańskiego w granice swego państwa, ze względu zaokrąglenia, strategii i ekonomiki narodowej. Uronił pan Michał kilka łez, bo zdawało mu się, że mu palce od prawej ręki odcięto.

Tymczasem co raz więcej mąciły się wyobrażenia, myśli dalekiej przyszłości domagały się doraźnego zrzeczywiszczenia i znalazły swoich inspirowanych apostołów. To też tworząc w przyszłości, poczęto ignorować rzeczywistość, a nawet wtedy, gdy już na niej utknięto. Jedno z pism lwowskich zaprzeczyło w swoim programie nazwy państw rzeczywiście istniejących, dzieląc kartę Europy na szczepy i rasy.

Na horyzont poczęły się wysuwać chmury piorunne.

I uderzył grom.

Znękany, rozczarowany, w olbrzymiej swojej myśli zawiedziony, opuszczał pan Michał stolicę Lwa, gdy na podrzeźnienie „zbratania się narodów“ usłyszał za sobą śpiew wyszydzający imię jego narodu — śpiew znanej mu dobrze mowy, mowy ludu współplemiennego.

Zatkał uszy na to bluźnierstwo i pomyślał sobie:

— Wszystko straciłem, com najdroższego w duszy wykarmił. Narody zamiast dłoni braterskiej wyciągły rękę zaborczą, albo się zasnuły jak jedwabnik w kłębek egoizmu swego. Pójdę w zacisze, otoczę się rodziną i dla niej żyć, pracować będę.

Ale i tu czekało pana Michała wielkie rozczarowanie.

Z zasady jednodniowego żywota nie miał pan Michał zasobów gospodarstwa. Rąk do pracy zabrakło, a nie było czem ich nająć. Udał się do wdzięcznego serca byłych swoich poddanych pan Michał, ale miasto wdzięczności doznał wzgardy, pogróżek i najokropniejszej obojętności.

Nawet za pieniądz niechciano pracować, a jasne żytko ginęło na polu. Gromady powynajdywały sobie do jego własności różnorakie pretensye i wydały mu procesa.

Musiał się pieniaczyć pan Michał, podczas gdy gospodarstwo jego upadało. A wraz z gospodarstwem upadał urok jego niedawno przebytej inspiracyi, i zostawiał po sobie jakiś smak cierpki i nieznośny. Powoli zamieniała się myśl jego pieszczona na wstrętną truciznę, którą wskroś przesiąkał umysł jego. I znowu złorzeczył w duchu zaślepieniu swemu, dziwił się że mógł takie głupstwa wyprawiać, a najbardziej gniewało go darowanie pańszczyzny, przez co i ludu sobie nie ujął, i siebie zrujnował.

Z ostatnią atoli skargą nie odzywał się jeszcze publicznie, bo się wstydził opinii. Słysząc jednak tu i owdzie śmiało występujące krzyki że szewcy i krawcy pańszczyznę darowali a szlachta za to pokutuje — zapomniawszy, że to sam z szczerem uczynił sercem, począł pan Michał powoli temu zdaniu wtórować, później sam krzyczyć, a nakoniec nawet innych do tego zdania nawracać.

Znowu poczęła się dawna rehabilitacya w sercu i w głowie pana Michała, najpierwej, że przez jednodniowy swój wzrok w nadziejach się pomylił, powtóre, że ofiara jego szlachetna w jednym dniu pożądanego nie odniosła skutku. Nawet wtedy jeszcze żałował tej ofiary, gdy po wyklarowaniu się stosunków ujrzał, że na niej nic nie stracił, i gdy już po pieniężne wynagrodzenie rękę wyciągnął.

I jak wielkim pierwej był pan Michał w poczuciu swoich myśli olbrzymich, jak śmiały był w przypuszczeniach i konjunkturach możliwych, tak małym ujrzał się teraz w zwierciedle nowego rozsądku, który zupełnie inaczej dzisiaj te rzeczy widział.

Panu Michałowi zdawało się, że przeżył sen gorączkowy, i że z ciężkiej choroby do zdrowia powrócił. Śmiał

się ze swoich chorowitych widzeń, wstydził się przetężonych swych nadziei, a skoro jeszcze do tego wszelkie w swym czasie najrozsądniejsze obliczenia go zawiodły, zwątpił o sobie, o swoich zdolnościach, o swem sercu, któremu najwięcej miał do wyrzucenia, a tem samem i o jedynej życia swego myśli, dla której był zawsze wylany.

Gdyby go był w takim stanie widział stary ksiądz pleban, rzekłby do niego:

— *Dulcissime!* Wieleś dotąd myślał, czuł i cierpiał, ale w tem wszystkiem nie ująłeś prawdy i błądziłeś. Dzieje twoje są to ułamki pięknej, bohaterskiej powieści, ale nie wysnuły się one z potrzeby organicznej żyjącego ciała. Poczęte i utworzone po za historyą, podobne są do małych dzieci, zaglądających przez okna do komnaty, w której odbywają się rzeczy poważne. Widać w twarzy tych dzieci-sierot szlachetny zapał, serce wzniosłe, widać gotowość do ofiar najdroższych, a nawet najwyższą człowieka cnotę, zaparcie się egoizmu — ale brak wzroku najbliższej przyszłości, nie zezwoli im nigdy zasiąść wewnątrz tej poważnej świątyni. Przepełnione serce twoje, pragnienie i tęsknota wyrabiały w twej fantazyi najdziwaczniejsze wyobrażenia, a złożywszy je raz w system, brałeś takowy za miarę rzeczywistości. Piękne i szlachetne były twoje myśli, siejąc atoli, pragnąłeś natychmiast czystego plonu, nie pomny ile chwastu pierwej wyplenić, ilekroć tę pracę powtórzyć potrzeba!... Myślałeś, że narody w swojem zbrataniu, będą szlachetne i wspaniałomyślne, a niewiedziałeś, że narody w zbiorowych swych reprezentacyach największymi są samolubami!... Szlachetność, wspaniałomyślność i poświęcenie się jest tylko udziałem jednostek! Jak każde pasmo z pojedyńczych składa się nici, tak każda wyższa myśl składa się z pojedynczych czynników. Jeżeli *myśli* całkowicie posiąść nie możesz, nie gardź najdrobniejszą jej cząstką, i najsubtelniejszym jej czynnikiem. Nie urywaj tych nici słabych, które się z przeciętego pasma wystrzępiły, ale chwytaj je z wolna, pojedyńczo, i wplataj uczciwie w posuwającą się tkaninę. Zamiast patrzeć tam, zkąd słońce wschodzi, lub gdzie ono zachodzi, zwróć twoje oczy na szczupłą przestrzeń w koło siebie, i pracuj na niej póty, póki ci sił i życia wystarczy. A bądź pewny owocu, bo to co wyrośnie, nie będzie wiotką trzciną ani badylem rośliny bagnistej, ale będzie drzewem, które pod niebo swoje konary rozeprze, a liczne ptastwo przemieszkiwać będzie pod bujnem liściem jego. Mówię ci to w przededniu nowych konstelacyj, i nowych pokus, do których rwać się będzie twoje serce szlachetne. Zbawienia nie wyczekuj ani od wschodu ani od zachodu, ale własną pracą i na własnym zagonie dobijaj się mety. Taka uczciwa praca czyni pojedyńczych ludzi i narody, wielkimi! Mówisz, mój synu, że niewdzięczny lud nie wart był łaski, która nań spłynęła, i że nie widzisz owocu tej łaski! Dulcissime, a przecież w całej garści piasku, którym niedawno zamiast ziarna hojnie rzucałeś, było to jedyne ziarnko złote, i toż jedyny tylko niegdyś plon przyniesie. Wszystko reszta było chwastem! Wszak od pół wieku przeszło zrywał się naród do tej wielkiej myśli, a gdyby głos Zamojskiego nie był stał się głosem wołającym na puszczy, nie mielibyśmy dzisiaj tych brzydkich kart historyi naszej, które wiecznie o samolubstwo i nierozsądny upor oskarżać będą. Owocu wszakże nie żądaj zaraz po tak późnej siejbie. Zakwitnie on ci w swoim czasie, ale ciebie już wtedy nie będzie. Twój potomek jednak nie wiedząc o twych uczuciach, z dumą wspomni o tobie, któryś to ziarno rzucił, a może i pomnik zapragnie ci postawić... wtedy pamiętaj, aby ci sumienie nie zaprzeczyło tej zasługi, jeźli szczerość twoja i tam cię nie opuści!.....

Takby to do pana Michała przemawiał ksiądz pleban. Ale staruszek ten już nie żył.

Umarł, usłyszawszy śpiew legionów, przedrzeźniony mową ludu jednoplemiennego...

Jan Zachariasiewicz.

Listy gospodarza wiejskiego.

VI.

(Dokończenie).

/\ Jeżeli się zastanowimy, że towarzystwo gospodarskie zawiązało się nie dla własnych korzyści, ale dla dobra ogólnego i pomyślności rolniczej kraju, to już niepowinno być trudno o fundusze tam, gdzie się głos odzywa w tej sprawie do pięciomilionowej ludności. Potrzeba tylko cokolwiek pojęcia własnego interesu, własnych korzyści, cokolwiek patryotyzmn, a znajdą się dostateczne fundusze dla towarzystwa, dla zakładu gospodarskiego, dla szkoły rolniczo-przemysłowej, zwłaszcza że jedynym celem tej silnej naukowej koalicyi, jest zwrócić każdy grosz wzięty z sowitą nadgrodą.

Potrzeby towarzystwa są nadzwyczajne i bieżące. Potrzeby bieżące jako to najem stósownego lokalu, opłatę dostatecznej liczby stałych urzędników, zakupno pożytecznych dzieł, rycin i modelów gospodarskich, pokryje towarzystwo ratami swych członków, jeżeli takowe rzetelnie i wcześnie płaconemi będą.

Udział niezmienny blisko 600 członków towarzystwa w prenumeracie rozpraw towarzystwa i tygodnika rolniczo-przemysłowego, tudzież pomoc moralna i wpływ sąsiedni łatwo podniesie listę prenumeratorów do liczby 1200. Ilość ta dozwoli ustalić prenumeratę tygodnika i półrocznych rozpraw na dwa złr. m. k. — a taniość ta uczyni je dostępnemi całej czytającej publiczności.

Przekonujemy się, że potrzeby bieżące towarzystwa gospodarskiego niewymagają nadzwyczajnych ofiar, że je z łatwością opędzić można, rzetelnością członków w płaceniu rat rocznych, i stałą liczbą 1,200 prenumeratorów.

Nadzwyczajnych zaś potrzeb towarzystwa gospodarskiego niema tak wiele, a jeżeli mu się uda za pomocą Boga i dobrych ludzi, ustalić byt zakładu gospodarskiego w Dublanach i szkoły rolniczo-przemysłowej tamże, to z tą jedną, nadzwyczajną potrzebą rozpocznie i zakończy się szereg nadzwyczajnych wydatków.

Aby ustalić byt szkoły rolniczo-przemysłowej i zakładu gospodarskiego w Dublanach, potrzeba oprócz dzisiejszych już istniejących funduszow jeszcze 100.000 złr. m. k. — Z tych 50.000 złr. m. będą dostatecznemi na wystawienie gospodarskich budynków, i gmachu

szkolnego, zaopatrzonego w bibliotekę, w muzea, w laboratoria, i w fabrykę modelów gospodarskich narzędzi.

Pozostałe 50.000 stosownie uprocentowane, będą funduszem rezerwowym na pokrycie luk, niezapełnionych bieżącemi dochodami zakładu, będą kapitałem, strzegącym zakład od wszelkich możebnych finansowych kłopotów.

Dokąd towarzystwo gospodarskie niebędzie miało w swej kasie summy 100,000 złr. m. k. przeznaczonej na założenie szkoły rolniczo-przemysłowej, dotąd niemoże z czystą wiarą przystąpić do dzieła bez narażenia go na ową łataninę, której następstwem jest zawsze upadek przedsiębierstwa.

Suma tak znaczna jak 100.000 złr. m. k. byłaby trudną do zebrania na korzyść prywaty, ale dla sprawy publicznej, dla nauki, dla szczęścia całych pokoleń, w kraju tak żyznym, tak rozległym, tak zaludnionym, summa ta przestaje być wielką, a trudność w jej zebraniu w miarę patryotycznego zapału, w miarę wzmagającego się zamiłowania nauki, z każdym dniem zmniejszać się będzie, a w końcu po dopięciu celu okaże się igraszką.

Słyszymy w kołach prywatnych, czytamy w pismach publicznych, jak w „Czasie," najdziwaczniejsze zdania i rady, czem i jak zapobiegnąć brakowi pańszczyzny, a nigdzie niesłyszeliśmy zdrowej i najprostszej rady, że brak ten zastąpić potrzeba rozumem, i że kiedy dotąd niema w kraju zakładu, gdzie tego gospodarskiego rozumu nabyć można, to przedewszystkiem potrzeba się starać o podobny zakład.

Fundusze na ten zakład wpłynąć powinny z tych samych źródeł, które powodzią swoją zatopiły dawne feudalne zwyczaje, i zniszczyły gmach spruchniałej towarzyskiej budowy — a cofnąwszy się w spokojne swoje łożysko, zostawiły po sobie nową erę, nowy postęp cywilizacyi.

I dlaczegożby inaczej stać się miało w kraju, który przed kilku laty, uniesiony falami najwznioślejszych uczuć dla cierpiącej ludzkości, gotów był dla niej wszystko poświęcić, i z godną wielkiej sprawy rezygnacyą zrzekał się prawnych swoich przywilejów; dlaczegoż by inaczej miało być dziś w kraju, gdy szlachetne chęci stały się już dokonanym czynem; dla czegożby inaczej miało być dziś gdy czynem tym weszliśmy w koło europejskiej cywilizacyi.

Gdy więc zniesienie pańszczyzny jest czynem dokonanym, i kiedy dziś za pańszczyznę słuszną pobieramy nagrodę, cóż jest prostszego, jak z tych samych funduszów, z tego samego źródła utworzyć zakład naukowy, którego jedynym celem zagoić wielkiem wstrząśnieniem zadane i dotąd jeszcze nie całkiem wyleczone towarzyskie rany, którego ostateczną dążnością zastąpić rozumem brak zniesionej pańszczyzny.

Aby zaś ten wielki cel osiągnąć, potrzeba nadzwyczajnie małych ofiar pojedyńczych ludzi, bo tylko jednego grajcara z każdego reńskiego pobieranej dziesięcioletniej zaliczki procentowej.

Zaliczka ta przenosi w Namiestnictwie Lwowskiem sumę siedmiu milionów. Wpłynęło by zatem siedm milionów grajcarów do skarbony publicznej, a więc przeszło stotysięcy złr. m. k. na rzecz zakładu naukowego w Dublanach.

Jakiż to piękny pomnik powstałby na pamiątkę czynu, który od pierwszych wieków chrześciańskich nie miał wznioślejszego od siebie, jakież to wielkie uznanie sprawiedliwości niebios, przeszło by w pamięć następnych wieków, jakże to godnie podziękowalibyśmy Bogu z ludem naszym, który na cześć JEGO za zniesioną pańszczyznę tyle wystawił pomników.

Spodziewać się przeto należy, że towarzystwo gospodarskie użyje wszelkich godziwych środków, i całego moralnego wpływu, aby właścicieli dobr ziemskich skłonić do wzniesienia tej w całości swej tak znacznej, a dla pojedyńczych osób do uiszczenia tak łatwej ofiary. I spodziewać się należy po każdym właścicielu zaliczki, że niezechce odmówić pomocy dla własnych i swych rodaków dzieci, pomocy najpotrzebniejszej bo naukowej, a spodziewać się należy tem bardziej, że żądać tej pomocy ma poniekąd prawo każdy mieszkaniec kraju, bo każdy przyczynia się datkiem do wynagrodzenia strat za zniesioną pańszczyznę, bo każdy dzień czuje dotkliwie ten ubytek bezpłatnie pracujących rąk, i każdy słusznie się domagać może, aby obywatele ziemscy, mając wynagrodzenie za zniesioną pańszczyznę, obmyśleli środki, przez któreby zniżyć można na przyszłość ceny zboża, dziś prawie bajeczne, a tem samem zmniejszyć dolegliwość i nędzę konsumentów.

Środkiem tym jest umiejętne, nie na ilości obsianych morgów, ale na dokładności uprawy tychże, oparte gospodarstwo wiejskie; środkiem tym jest dostateczna ilość światłych agronomów, i zręcznych, z systemem i porządkiem gospodarskim obeznanych pomocników. Że zaś tych i wiele innych w gospodarstwie wiejskim niezbędnych środków, tylko przez zaprowadzenie publicznego zakładu gospodarskiego, i szkoły rolniczo-przemysłowej nabyć można, przeto kończymy list dzisiejszy tym niezaprzeczonym pewnikiem, że pomyślność rolnictwa naszego głównie zawisła od zaprowedzenia wzorowego gospodarstwa i szkoły rolniczo przemysłowej w Dublanach.

Rozmaitość.

Z nad ujścia Wisłoki. 30 Stycznia.

Niecierpliwie oczekiwana zima przecie do nas zawitała. Od kilku dni mamy silne mrozy, ale zato i sannę, która dla naszej nadwiślańskiej, bezleśnej okolicy była bardzo pożądaną, bo cóż z tego, że dzięki różnym okolicznościom i potrzebom, można czasem furę opału za 6 krajcarów monetą kupić, kiedy po nią o dwie mile po bezdennych drogach posełać trzeba.

Karnawału u nas jak gdyby nie było. Ogłoszony z ambon tutejszej dyecezyi zakaz wszelkich zabaw z muzyką przez czas Jubileuszu, niemało się do tego przyczynił, lubo wiemy, że ten rozkaz tylko podobno z Tarnowskiego konsystorza wyszedł. Nie dziwimy się, bo wiemy także, że na tej dyecezyi dużo grzechów cięży. Szkoda tylko ze nasi włościanie zamiast oddać się pokucie, w miejsce zakazanego tańca i śpiewów, wynaleźli sobie inną zabawkę, a tą są częste bojki, które nie rzadko kończą się morderstwem. Takich wypadków wiele możnaby naliczyć; skutek to zapewnie zbytniego pobłażania z jakim niektórzy sędziowie ze złodziejami się obchodzą. Zdaje mi się jednak, że taka filantropia coraz bardziej nasz lud i tak nie bardzo moralny jeszcze bardziej demoralizuje. Gromady widząc że u sędziego nie znajdą sprawiedliwości, same je sobie wymierzają, a dostatecznie wiadomo, jakie to wyroki wychodzą z pod prezydencyi wojta i przysięgłych.

W bliskiej mnie niemieckiej kolonii, koloniści złapali złodzieja, a gdy im się do popełnionych kradzieży przyznać nie chciał, zaczęli mu „palić cholewki" ale to nie tak jak my to w polskiej mowie rozumiemy ale po swojemu, to jest, póty mu słomą podeszwy palili, póki się nie przyznał i szkody nie wynagrodził. Wprawdzie cel uzyskany prędko, bo w dochodzeniu kryminalnem pewnie wszystkiego by się był wyparł; ale droga do tego celu wiodąca jakoś z 19tym wiekiem i oświatą niemieckich kolonistów nie bardzo licuje.

Z zaczęciem mrozów, wzięło się u nas do młocki koniczyny, która tego roku nadzwyczajnie nie namłotna, ale i do tego trudno znaleść robotnika, bo lubo drożyzna coraz bardziej się wzmaga, lubo u chłopa przednowek i głód za progiem, woli on nie zarabiać; czy kiedy pozna wartość pracy, czy pojmie że ona jest jego wyłącznem zadaniem, o tem należy wątpić.

Chłop bowiem nigdy o przyszłości nie myśli, przeszłości także nie pamięta, i spuszcza się zawsze na opatrzność, która mu w o-

statnich latach tak dopisała, ale nie uważa na to, że to Opatrzność zdaje się go teraz opuszczać, bo choroby i śmiertelność (choć niema cholery) coraz więcej go nawiedzają. Jest to niezawodnie palec boży, nim się jednak na nim poznają, dużo jeszcze czasu i wody upłynie.

(Dok. nast.)

* Autorem listów gospodarza wiejskiego jest członek Towarzystwa gospodarskiego, właściciel dóbr.

Przyjechali od dnia 7. do 8. Lutego do Lwowa.

PP. Torosiewicz Maurycy, z Ostrowa. Waszkiewicz Włodzimierz, ze Złoczowa. Łucki Adam, ze Sarny. Mrozowicki Jan, ze Sokołówki. Czajkowski Hipolit, ze Sarnik. Sozański Celestyn, z Błazowa. Uniatycki Józef, z Jamelny.

PP. Stadnicki Edward, hr. z Przemyśla. Wojczyński Alfons, z Tuligłów. Wierzbicki Juliusz, ze Zelechowa. Zagórski Karol, z Kołodziejówki. Kielanowski Jan i Tytus, ze Zelechowa. Dzieduszycki Aleksander, hr. z Łachowic. Jabłonowski Józef, z Dołhego. Niesiołowski Anzelm, ze Sokala.

Wyjechali dnia 7. do 8. Lutego ze Lwowa:

PP. Zagórski Karol, do Kołodziejówki. Siarczyński Zygmunt, do Streptowa. Brückmann Henryk, br. do Mainicza. Raciborski Napoleon, do Stanisławowa. Thorznicki Konstanty, do Sarnik.

PP. Kozłowski Faustyn, do Czortkowa. Konopka Kazimierz, br. do Brzeżan. Dzieduszycki Włodzimierz hr., do Poturzyc. Komorowski Adam, hr. do Konotop. Obertyński Henryk, do Żółkwi. Komorowski Franciszek, hr. do Łuczyc.

Lwów 7. Lutego. Na dzisiejszym targu płacono korzec pszenicy ozimej po 31 złr. — kr. do 35 złr. — kr. — Żyta po — złr. — kr. do 29 złr. — kr. Jeczmienia po — złr. — kr. do — złr. — kr. Owsa po 19 złr. — kr. do 20 złr. 30 kr. Grochu po — złr. — kr. do — złr. — kr. Hreczki po — złr. — kr. do — złr. — kr.— Ziemniaków po — złr. —do 13 złr. 30 kr. Sąg drzewa bukowego 35 złr. 38 kr. do 36 złr. 53 kr. Sosnowego po — złr. — kr. do — złr. w.w. Cetnar siana 5 złr. — kr. do 5 złr. 23 kr. Centnar słomy — złr. — kr. do 2 złr. 40 kr. w. w. Garniec 30 stopniowej okowity bez opłaty 4 Złr. 15 kr. do 4 złr. 22 kr. w. w.

Kurs telegrafowany z Wiednia 9. b. m. o g. 2. po połud.

Augsburg za 100 złr. .	127 1/8	Pożyczka 5% 83	4 1/2 —
Hamburg za 100 tal. banco	93 1/4	Akcye banku	1017
Londyn za 1 funt szterl.,	12 16	Kolej północna	1987 1/2
Medyolan za 300 lirów	—	Obl. ind.	77 3/8
Paryż za 300 franków .	148	Nowa pożyczka z loteryą	107
Agio duk. ces.	—	Pożyczka narodowa . .	86 5/16

Wczorajszy Kurs Lwowski Gotówką towarem.

Dukat holenderski	złr.	5	kr.	52	złr.	5	kr.	55
Dukat cesarski	«	5	»	57	»	5	«	59
Półimperyał zł. rosyjski	«	10	«	10	»	10	«	12
Rubel srebrny rosyjski	»	1	«	58	«	1	»	59
Talar pruski	»	1	«	54	»	1	«	56
Polski kurant i pięciozłotówka . . .	»	1	«	25	»	1	«	26
Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	»	93	«	25	»	94	«	10
Obligacye indemnizacyjne z kuponami.	»	76	»	40	»	76	»	55
Galicyjskie obligacye indemnizacyjne bez kuponu		75	«	18	..	75	,,	33

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**